

Nr. 28. Rok II.

# TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 13 lipca 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.



## Szkoły i wychowanie w Polsce.

Przegląd historyczny od najdawniejszych do najnowszych czasów

napisał

**Alfred Szczepański.**

(Ciąg dalszy.)

### Okres pierwszy.

**Polska do roku 1773.**

Epoka I.

### Od początku do roku 1364.

t. j. do założenia akademji krakowskiéj.

*Ogólny charakter, zasady i pierwsze szkoły.*

Dopiéro w X wieku wraz z chrześcijaństwem pojawiają się w Polsce i szkoły. Aż do końca jednak XIV wieku państwo, rząd zupełnie wychowaniem się nie zajmuje i nie ma téż nad niém żadnéj władzy. Królowie i książęta dynastji Piastowskiéj zajęci są wyłącznie sprawami politycznemi, upewnianiem granic państwa, wewnętrznem jego urządzeniem. Epoka ta wojenno-polityczna nie zostawia żadnemu rządowi czasu do podjęcia sprawy oświaty i wychowania publicznego. Naczelném ich staraniem musiało być utworzenie najpierw państwa. W téj epoce są więc powody do wytłomaczenia niedbałości rządów chwiejnych i zmieniających się, tém bardziéj, gdy w epoce podziałów (po Bolesławie Krzywoustym) zatraca się idea państwa, i nie ma centralnego rządu, na któryby odpowiedzialność spaść mogła.

Pod względem oświaty i wychowania zostawiona jest zatém nomine contradicente, zupełna wolność prywatnym staraniom, a mianowicie duchowieństwu i magistratom miejskim. W ogóle z wolności téj korzysta tylko duchowieństwo, staje się to tradycją, a następnie wyradza się w przywilej.

Gdy zaś tak duchowieństwo, jak i przez długie czasy ludność miast sprowadzaną była z zagranicy, z Niemiec, wprowadzając z sobą kanoniczne i niemieckie prawo, wynika ztąd, że lubo w téj epoce można już mówić o szkołach, nie można jednak jeszcze wcale mówić o wychowaniu narodowém. Niemożność lub niebaczność rządów pociąga już od pierwszych początków zgubne za sobą dla państwa skutki. Szkoły bowiem powstające są przeważnie nienarodowe: albo łacińskie, wyłącznie duchowne, albo niemieckie, a wszystkich głównym celem jest przysposabianie duchownych, którzy mają pastorałem nad państwem zawładnąć. Szkoły podają téż tylko pewne, do tych celów potrzebne, wiadomości. Niezaprzeczoném jest, że duchowni byli pierwszymi cywilizatorami Polski, tak jak w całéj nowéj Europie — lecz szkoda, że w Polsce zbyt długo pozostali wyłącznymi, jedynymi jéj profesorami, jak również, że oni byli i ostatnimi, stojąc przy zbutwiałéj rutynie swojéj, podczas gdy w około cały świat się zmieniał i dojrzewał. Jako największy zaś zarzut ciąży na duchowieństwie zupełne zaniedbanie oświaty ludu, bezpośrednio jego opiece powierzonego.

Dat pewnych z epoki téj nie mamy, o bliższém zaś urządzeniu szkół tyle tylko powiedzieć można, że duchowieństwo urządzało je w wiekach średnich wszędzie na jednę modłę. Nauka jest bezpłatną. —

## Rozpatrzenie szczegółowe.

### *Szkoły średnie*).*

Benedyktyni posiadający liczne klasztory (w Sieciechowie, na Łyséj górze), mieli przy niektórych i szkoły. Pewném jest, że w roku 1044 opat Aron w Tyńcu pierwszy tam szkołę założył. Kanonicy regularni otwierali szkoły t. z. katedralne n. p. w Trzemesznie. Szkoły takie były już od XI wieku w Gnieźnie, w Smogorzewie... na Rusi miała być w Nowogrodzie, w Smoleńsku szkoła greckiego i łacińskiego języka. Za Kazimierza Wielkiego już ich tam nie zastajemy.

Szkoły te podzielone były na trivium, w którém uczono gramatyki, retoryki(?), djalektyki — i na quadrivium, w którém uczono arytmetyki t. j. tabliczkę Pytogorasa, 4 działania — arabskie liczby zaprowadzono u nas zamiast rzymskich dopiéro w XIV wieku — astronomji, raczéj astrologji (mamy téż kalendarze na 200 lat przed wynalezieniem druku), muzyki, to jest śpiewu kościelnego. Wykład odbywał się po łacinie, tłomaczono niektórych klasyków na polskie.

Osobno urządzano szkoły zakonne. Te oprócz powyższego podziału dzieliły się jeszcze na wewnętrzne (interiores) w klasztorze dla przyszłych zakonników — i zewnętrzne (exteriores) w domu obok klasztoru dla przychodniéj młodzieży. Prócz wymienionych przedmiotów uczono tam jeszcze mieszaniny z teologji i filozofji scholastycznéj.

Były to naówczas szkoły średnie i wyższe, które miały za cel kształcenie duchownych, służyły wyłącznie chwilowym widokom kościoła katolickiego, nie zaś ogólnéj oświacie. W nich to wychowywali się, według prawa kanonicznego, w zasadach władzy kościoła nad całym światem, owi duchowni możnowładzcy wiodący réj w epoce podziałów i zatargi z władzą świecką Piastowiczów. Obok nich właściwe warunki stwarzają możnowładzców świeckich — a narodzin tych przyszłego ustroju państwa należy szukać nietylko w politycznych i społecznych warunkach, ale niemniéj i tutaj w dziejach i charakterze wychowania.

### *Szkoły początkowe i niższe.*

Przejście poniekąd do tamtych szkół (gdyż o organicznym związku szkół nikt nie myślał) stanowiły szkoły farne, parochjalne i miejskie. Pojawiły się one w XIII wieku z rozrastaniem się osad, które po miastach prawem magdeburskiém się rządziły, albo przy kościołach. Fulko, arcybiskup gnieźnieński, zaleca w r. 1237 wszystkim plebanom utrzymywanie szkół parochialnych, nakazuje oraz nauczycielom osobnym statutem znajomość języka polskiego, która zatém między nimi nie była rozpowszechnioną, gdy nakazywaną być musiała. Szkoły takie były w Poznaniu, w Toruniu, Krakowie, Lublinie, Sandomierzu, Kaliszu, Kościanie, Wschowie, Gdańsku, Sieradzu, Łowiczu, Łęczycy, Warszawie.

Nauczycieli było zwykle dwóch: scholastyk albo magister i teolog. W szkołach farnych i miejskich po miastach na prawie polskiém osiadłych, osadzała ich kapituła, lub pleban. Na utrzymanie wyznaczano im pewne dochody kościelne; nauka była bezpłatna. W miejskich, po miastach na prawie magdeburskiém, osadzał ich niemiecki magistrat. Na utrzymanie pobierali suchodniówki (pensje co kwartał w suche dni), czasem miewali mieszkanie, żaki opłacali pewne szkolne. Uczono w tych szkołach języków niemieckiego, polskiego, katechizmu, modlitw, pisma świętego, ojców kościoła, śpiewu, liturgji, pisać (mnóstwo rękopismów i brewiarzy ozdobnych świadczy o kwitnieniu tego kunsztu), czytać, cokolwiek rachunków, gramatyki łacińskiéj, (szczególniéj z Donata, który obok Alvara do końca XVIII wieku przetrwał). Łaźnia należała do porządku przepisanego we wszystkich szkołach. Językiem wykładowym był niemiecki, w niektórych polski. Niemieckiego języka wymagała praktyka prawa magdeburskiego, — aż dopiéro Kazimierz W. zniósł apelację do Magdeburga, zaprowadzając najwyższe trybunały w kraju.

Bywały téż często spory o język wykładowy; biskupi i synody zalecają często plebanom, ażeby szkoły tylko biegłym w języku polskim powierzali.

Wspomniana już nieopatrzność państwa w téj mierze powtarza się i późniéj. Zaniedbanie koniecznego asymilowania obcéj ludności miast z narodem, była to jedna z przyczyn wytwarzania się odrębnych stanów w narodzie, nieczujących wojennéj narodowéj solidarności, ani solidarności z interesami państwa. Złe to im daléj, coraz więcéj się rozwija, gdyż wszystkie sprzyjają mu warunki, tak jak warunki wychowania. Ludność niemiecka miast zostawiona saméj sobie, przez długie wieki czuje się osobną i obcą całością, którą obchodzą li własne jéj interesa.

Słyszymy wprawdzie, że Leszek Czarny (Niemiec z wyobrażeń i zwyczajów) usiłował oprzeć władzę swoją na niemieckiéj ludności, Kraków niemiecki broni go przeciw szlachcie .. za bunt niemieckiego mieszczaństwa z wójtem Albertusem na czele przeciw Władysławowi Łokietkowi utracił był Kraków prawo wyboru rajców i t. p. Fakta podobne świadczą jednak tylko, że ludność niemiecka doszedłszy do zamożności przez handel i stanowiąc pewną potęgę, wprowadza ją i w polityczną grę, lecz wyłącznie w celu stanowym, w celu uzyskiwania przywilejów, broniących jéj odrębności od państwa. Zaniedbanie więc polszczenia miast, co skutecznie a bez gwałtu tylko przez szkoły mogło być dokonywaném, a leżało w koniecznym interesie państwa — zaniedbanie to, stając się powodem odosobnienia ich od narodu i politycznego życia, ułatwia przez to wybujanie wyłączności z łona rycerskiego, ustawodawcze odsunięcie nawet miast od równości praw (gdy pierwotne osobne prawa potraciły, a zarazem naturalnie i od wszelkiego niemal udziału w prawodawstwie. — Odsunięcie to od głównych prądów narodowego życia i pozbawienie wolności oddziaływa z kolei na upadek dobrobytu i oświaty niegdyś ludnych i zamożnych miast. Tém się tłomaczy daléj owa dziwna w ciągu całéj naszéj historji obojętność ludności miast, na własne upośledzenie w państwie, oraz obojętność na losy państwa. Niepodobném było powstanie i wyrobienie się mieszczaństwa, stanu trzeciego. Tutaj, w dziejach wychowania odnajdujemy klucze oprócz do wielu innych i do tego zagadnienia. W téj pierwszéj epoce w nieszczęsnéj nieopatrzności co do narodowego charakteru oświaty i wychowania, widzimy jedno z źródeł przyszłych śmiertelnych chorób państwa.

Wszystkie te niższe szkoły noszą w ogóle także charakter przeważnie duchowny. Uczęszczała do nich młodzież tylko miejska i szlachecka.

Nie wystarczały one jednak na potrzeby wzrastającego państwa, a w szczególności na potrzeby wzrastającego w znaczenie możnowładztwa i stanu szlacheckiego, które patrzyły łakomie na prawa feudalnych panów zachodniéj Europy — nie poczuwając się do ich obowiązków względem państwa i panującego. Bogatsza więc młodzież po ukończeniu szkół krajowych, wybierała się zwykle na nauki do akademji zagranicznych, do Padwy, Bononji, a w Paryżu, jak mówi Czacki, „Polacy osobny naród tworzyli.“ Téj to okoliczności zapewne należy przypisać, że mimo niedostatków i wad wychowania

*) Do podziału rzeczy mających swoje właściwe nazwy używam terminów dzisiejszych.

krajowego, szerzyła się oświata w warstwach wyższych, tak, że „już w XIV wieku miała Polska ludzi zdolnych nauczać z katedr zakładanego podówczas uniwersytetu w Krakowie.“ (Krzyżn.)

Co do szerzenia się oświaty charakterystycznemi są następne wiadomości: Kazimierz (zwany dawniéj mnichem) pierwszy z królów polskich umiał jako tako pisać, synowie Konrada mazowieckiego mieli domowych nauczycieli. Przemysław I czytywał psałterz. Za Kazimierza W. już wielu z zamożniejszéj szlachty umiało czytać, pisać i po łacinie.

O szkołach wiejskich, o oświacie ludu, nie ma w téj epoce ani śladu. Głucho tutaj o ludzie wiejskim, tak jak w historji politycznéj. Zrywa on się kilka razy, ale nie do nowego świata, nie do nowego porządku rzeczy, ale do dawnego przedchrześcijańskiego stanu wolnych kmieci, właścicieli ziemi, obywateli. Od nowéj oświaty jeszcze lud nie jest wykluczony, tak jak téż nowy porządek nie od razu, ale zwolna pozbawiał go jego obywatelskich praw. Synowie kmiecy mogli jeszcze chodzić do szkół miejskich — gdyby byli posiadali początkowe wiejskie. Ale o tém nie pomyślało duchowieństwo — a stanowi rycerskiemu, dążącemu do przywłaszczenia sobie wyłącznie państwa, ziemi i prawa, dobrze było z tém, że lud pozostawał w sławiańskiéj, pierwotnéj niewiadomości, na któréj można było budować dla niego społeczne i polityczne jarzmo. W następnéj epoce i ta rzecz dojrzewa.

O wychowaniu dziewcząt również niema jeszcze śladu — prócz luźnych wiadomości o edukacji kilku kobiét.

Na utrzymanie ubogiéj młodzieży zdarzają się już fundacje przy klasztorach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

**Michała Bałuckiego.**

(Dalszy ciąg.)

## IV. Nieczyste dusze.

Stary Majer nie długo potrzebował namawiać córkę do spowiedzi. Miała ona niepokój w duszy, który pragnęła uciszyć religją; ale bała się zwierzyć tajemnice serca swemu wujowi. — To téż rączo chwyciła się propozycji ojca i na drugi dzień rano klęczała już w kaplicy przy konfesjonale. W tydzień potem powtórzyła się ta sama ceremonja. — Trudno nam wiedzieć, jakie wyznania robiła księdzu i jakie rady dawał jéj ksiądz. Zasłona spowiedzi grubą tajemnicą osłoniła jedno i drugie. To tylko wiadomo, że po drugiéj spowiedzi Anetka wraz z ojcem udała się do mieszkania księdza Albina i tam podpisała zeznanie, jako ksiądz proboszcz namawiał ją do małżeństwa z Augustem i tłumaczył jéj, że różnica religji w małżeństwie nic nie znaczy. — Ksiądz Albin wytłumaczył jéj, że takie zeznanie jest prostą formalnością, któréj on w tym tylko razie użyje, gdyby ksiądz proboszcz gwałtem zmuszał ją do tego małżeństwa. Uspokojona w tym względzie podziękowała księdzu za staranie, jakie miał o zbawienie jéj duszy i pożegnała go wraz z ojcem. — Gdy szli przez podwórzec Anetka dostrzegła w oknie twarz Zenona. Zarumieniła się mocno i spuściła oczy ku ziemi. Jednak w bramie jeszcze raz nieznacznie się obróciła, i spojrzała w to okno. Zenona tam już nie było. Pobiegł on coprędzéj do kapelana dowiedzieć się o celu bytności Anetki u niego. Ksiądz za całą odpowiedź pokazał mu papier z podpisem Anetki i jéj ojca. —

— Sprytny z ciebie człowiek, księże, — rzekł Zenon przeczytawszy pismo.

— Tam gdzie idzie o ratowanie duszy — robić powinniśmy wszystko, co w naszéj mocy.

— Więc ona nazywa się Majer — a ten stary, co z nią szedł, to jéj ojciec? —

— Tak. —

— Majer — Majer — przypominał sobie Zenon — znałem gdzieś to nazwisko. Czy oni nie byli przypadkiem w Wiedniu? —

— Podobno. —

— A więc to on. Mądry stary nie przyznawał się nigdy do tego, że ma córkę. —

— Więc go znałeś? —

— Tak — z widzenia — odrzekł, a w duszy dokończył sobie: córka muzykanta od Sperla — sprawa więc nie będzie znowu tak trudna, jak myślałem. Stary będzie zapewne wyrozumiały i da się ująć. —

Tak rozmyślał Zenon chodząc po pokoju. Nagle zatrzymał się przed księdzem i spytał:

— A jeżeli ksiądz proboszcz będzie nalegał i namówi ją na to małżeństwo. —

— Wątpię — ona nie pokazuje wielkiéj do tego ochoty. —

— Dla bezpieczeństwa jednak może lepiéjby było usunąć ją z pod jego wpływu. —

— Pogadam o tém z matką pana. Możeby ją tu umieścić tym czasem można. — Matka pańska dla dobra religji zrobić to gotowa. —

— Toby było najlepsze. —

Kiedy takie zabiegi i starania robiono koło zerwania małżeństwa — August nie był obecnym w Wybrzeżu. — Telegram powołał go niespodzianie do Wiednia, dokąd go wzywał profesor dla zawarcia kontraktu z towarzystwem budowniczém. Pani Beata bowiem formalnie wypowiedziała mu kontrakt a posada, jaką mu w Wiedniu ofiarowano zbyt była korzystną, by jéj miał nie przyjąć. — Pojechał więc niebawem. —

W drodze miał dziwne spotkanie. — Na kilka stacji przed Krakowem wsiadła do wagonu, w którym on się znajdował, jakaś familja złożona z ojca, matki, dwojga córeczek i bony. — Ponieważ pociąg na téj stacji zatrzymał się bardzo krótko — konduktor więc z pospiechem pakował do wagonu podróżnych, którzy z trudnością windowali się do góry po wysokich schódkach, obciążeni ręcznemi torebkami i pakunkami. — August przez grzeczność pomógł wsiadającéj pani podając jéj rękę, — następnie wciągnął dwie córeczki, a w końcu wyciągnął rękę ku bonie. Jakież było jego zdziwienie, gdy we wchodzącéj do wagonu poznał Józię — ową piękną Magdalenę wiedeńską. I ona spojrzawszy na niego musiała go poznać, bo zadrżała. — Trwało to jednak krótką chwilę; — wnet zapanowała nad wzruszeniem, usiadła spokojnie obok dziewczynek i zajęła się porządkowaniem wniesionych pakunków. — Właściciel

córeczek pomagał jéj w tém zajęciu. W ogóle obejście się jego i żony względem bony było nadzwyczaj uprzejme i delikatne, a dwie dziewczynki tyle jéj podczas drogi okazywały czułości i przywiązania, że aż matka o to zazdrosną być mogła. — August uważał to wszystko i cieszyło go, że kobieta, którą uważał za straconą, umiała wydobyć się z błota i zyskać sobie u ludzi szacunek i miłość. — Wstydził się teraz porywczości, z jaką potępił ją na słowo jednego człowieka, — z rozrzewnieniem przypatrywał się Józi. — Owa noc w Wiedniu, gdy klęcząc u nóg jego, czyniła mu wyznanie grzechów swoich, stanęła mu żywo w pamięci. — Józia nie zmieniła się nic prawie od tego czasu; tylko rysy nabrały więcéj wyrazu spokojnego i szlachetnego, a cera blada i zwiędła nieco dziś lekkim rumieńcem była zafarbowaną. — Podczas całéj drogi starannie unikała jego widoku, o co nie było jéj trudno, gdyż matka dwóch dziewcząteк ciągle zajmowała jéj oczy, wskazując jéj różne ciekawości okolic, przez które pociąg przejeżdżał. — Józia słuchała jéj na pozór uważnie i z zajęciem; jednak ktoby ją był dobrze obserwował, spostrzegłby w niéj niepokój i roztargnienie niezwyczajne. Słuchając owéj pani, chciwie chwytała także rozmowę, jaką August zawiązał z jéj mężem. Może rada była z niéj dowiedzieć się coś o Auguście, o celu jego podróży; ale rozmowa toczyła się około obojętnych przedmiotów. —

Stanęli wreszcie w Krakowie.

— Pan jeszcze daléj jedzie — zapytał ów jegomość Augusta, żegnając się z nim. —

— Tak. —

— My zostajemy w Krakowie. Żegnamy więc pana — rzekł i ukłoniwszy się wyszedł. — Za nim żona skinęła głową Augustowi, nawet dwa dziewczątka na pożegnanie umaczały przed nim świeczkę. Ostatnia wyszła Józia. — Rzucając pożegnalne spojrzenie Augustowi, chciała mu coś powiedzieć, ale zbliżenie się ojca dziewcząteк, który jéj rękę podawał, wstrzymało ją. —

August odchodzącą odprowadził oczami. — Potem korzystając z dłuższego zatrzymania się pociągu wysiadł i zapaliwszy cygaro, chodził po peronie. — Już miał wsiadać napowrót, kiedy jakiś dźwięczny, kobiécy głos zawołał go po imieniu. — Odwrócił się. Józia stała przed nim. Silne wzruszenie twarz jéj żywym oblało rumieńcem. —

— Panie Auguście — rzekła głosem, który uczucie stłumiło — do widzenia.

Podała mu rękę i uścisnąwszy go serdecznie, wsunęła mu papier, poczém szybko się oddaliła.

August stał chwilę odurzony, ściskając papier w dłoni. Potém wrócił do wagonu i rozwinąwszy kartkę, przeczytał na niéj ołówkiem z pośpiechem napisane następujące słowa:

„Błagam na wszystko chciéj się pan ze mną widzieć, gdy będziesz wracać. Mieszkamy w Krakowie — ulica Florjańska Nr. 33. Zawiadom mnie listem, kiedy będziesz wracał, czekać będę na ciebie. — Adres mój: Józefa Żyroń u państwa Twarnickich.“ —

August chciał zaraz kilka słów odpisać; nie było jednak już czasu, bo pociąg właśnie ruszył z miejsca. Schował więc kartkę do pugilaresu z zamiarem napisania do Józi kilku słów z Wiednia. —

Pobyt jego w Wiedniu przedłużył się nadspodziewanie; dyrektor bowiem towarzystwa wyjechał na pogrzeb swego ojca. — Dwa tygodnie całe August musiał czekać na niego. — Tego czasu użył na zwiedzanie okolic Wiednia, na kupowaniu upominków dla swéj narzeczonéj, o któréj pamięć tu ani na chwilę go nie opuszczała. Owszem wszystko mu ją tu przypominało, a szczególniéj owe dwa okienka na poddaszu, naprzeciw których teraz umyślnie wynajął mieszkanie. — Mieszkała tam teraz jakaś stara imość z całą familją pinczów w kilku pokoleniach. August cieszył się już naprzód radością, jaką sprawi Anetce opowiadaniem o wszystkich szczegółach w Wiedniu, które ją obchodziły bliżéj. — Tęsknił do powrotu bardzo. To téż skoro tylko dyrektor przybył i kontrakt z nim zawarł, natychmiast zabrał się do powrotu. — Wprzód jednak uwiadomił Józię, że tego a tego dnia będzie przez Kraków przejeżdżał i nie zatrzyma się w nim wcale, tylko tyle czasu, ile pociąg idący do Lwowa. Tak mu spieszno było stanąć w domu swéj narzeczonéj. —

W oznaczonym dniu Józia czekała go na kolei. — Dziwne było ich powitanie. Znali się tak krótko — a jednak tak poufale; potem rozstali się bez pożegnania i nie widzieli tak długo. To wszystko robiło ich nieśmiałymi — trudno im było zacząć rozmowę. Pierwsza zaczęła Józia. Przepraszała go, że śmiała żądać od niego widzenia się, że mu zabiera czas; ale rzekła — tak pragnęłam z panem pomówić, widzieć się, bo ja panu jestem wiele winna. Czy nie możesz się pan dłużéj zatrzymać w Krakowie? — odezwała się po chwili nieśmiało. —

— To trudno. Muszę się spieszyć — odrzekł.

— Więc chodźmy ztąd. Tu tyle ludzi, tyle ciekawych oczów — a ja chciałabym z panem porozmawiać bez świadków. —

Podał jéj ramię i poszli ku strzeleckiemu ogrodowi. — Ogród o téj porze był pusty. Usiedli więc na oboczu na ławeczce. Tu August począł rozmowę od usprawiedliwiania się, że się z nią tak źle rozstał; powiedział jéj powód tego. —

— Domyśliłam się, że nie wierzyłeś mi — rzekła. — O! nie uwierzysz pan, jakiego okropnego uczucia doznałam, gdy zamiast ciebie zobaczyłam wchodzącego do mego mieszkania obcego człowieka, który mi oddał szal i pieniądze i nic, nic więcéj — ani słówka jednego. Czekałam, schłam, umierałam z tęsknoty, niepewności. W końcu uwierzyć musiałam, że pan nie wrócisz więcéj. — Ale myśl o tobie stała jak stróż anioł przy mnie, ona mi już nie pozwoliła wrócić tam, gdzie mnie znalazłeś. — Myślałam sobie, że powinnam zacząć życie inne, jeżeli już nie dla ciebie — to przez cześć dla twojéj pamięci. — Pieniądze, któreś mi zostawił, ratowały mnie i mego Zygmuntka od głodu. — Miałam czas namyślenia się, co robić ze sobą. — Najprzód umieściłam Zygmunta u jednego nauczyciela; potem poczęłam myśleć o sobie. Z początku chciałam schować się do klasztoru bodaj jako służebnica; tak się bałam świata, tak nie dowierzałam sobie. — Ale życie klasztorne, jednostajne, bezczynne zrażało mnie. Ja chciałam ruchu, pracy; przytem potrzebowałam zarabiać na utrzymanie Zygmuntka. — Długo nie mogłam się zdecydować co robić. Drżałam na myśl, by fundusze moje nie wyczerpały się pierwéj, nim coś postanowię o sobie. — Chwyciłam się pierwszego lepszego obowiązku, który mi się trafił; poszłam za służącą do dzieci. — Ale tam nie byłam długo. — Jakiś młody człowiek, który bywał w tym domu, ostrzegł owe państwo, by mnie nie trzymali u siebie, bo jestem kobiétą złego życia. — Patrz pan, jeden z tych, którzy nie gardzili mną w domu rozpusty — z pogardą patrzał na mnie, gdy mnie widział pracującą uczciwie w uczciwym domu. — Oddalono mnie. — Byłam w rozpaczy. Gdy wtém dowiedziałam się przypadkiem z jednego z dzienników, w którym kupiec owinął mi sprawunki moje, że w Galicji potrzebną jest bona do dwojga dzieci. — Pobiegłam co prędzéj do redakcji i za jéj pośrednictwem dostałam się do domu, w którym teraz zostaję. — Jestem już pół roku. Ludzie zacni i poczciwi; kochają mnie — a ja nie mam słów na wyrażenie im mojéj wdzięczności. Pan nie pojmujesz, co to za szczęście dla kobiéty rzuconéj w świat na poniewierkę, znaleźć kąt u ludzi, przytulić się do poczciwéj rodziny. Dziś czuję,

że żyję — pragnę żyć. — Smuci mnie tylko, że mego Zygmuntka nie mogę mieć przy sobie; ale nie chciałam przyznać się tym ludziom do wszystkiego. Nie umiałabym kłamać, musiałabym im całą prawdę powiedzieć, a wtedy może oddaliliby mnie znowu. A tego się boję. — Męczy mnie, że muszę oszukiwać tych ludzi, zmyślać historję méj młodości, ale robię to z konieczności. — Wszak prawda, że takie kłamstwo to nie grzech. —

Spojrzała mu w oczy chcąc z nich wyczytać odpowiedź. August był wzruszony prostém a szczerém opowiadaniem; nie wiedział co powiedzieć, tylko uścisnął rękę Józi. — (Ciąg dalszy nastąpi.)

# CHADŻY-ABREK.

Powieść kaukazka

**z Lermontowa,**

przełożył

Stanisław Grudziński.

(Dalszy ciąg).

Już dnieje .. wciąż czystsze błękity,
Wiatr nocny tuman zwolna zwiał,
I granitowe wstają szczyty,
Zwieńczone lodem szczyty skał.
I w rozpadlinie obudzony
Różowy obłok ocknął się,
Jak żagiel wzdyma się wzruszony
I gdzieś w błękitnéj ginie mgle...

Wciąż jaśniéj. — Drogą nad urwiska
Powoli stąpa bystry koń,
Zwilżona rosą trawa śliska,
Lecz rumak czuje pana dłoń.
Ze skał wysokich lśniących jeszcze
Dziki winograd zwiesza liść,
Gdy tam koniowi trzeba iść,
Spadają rosy chłodne deszcze.

Niedbale jeździec cugle rzucił
I starą ojców pieśń zanucił,
A jéj wtórzyły w jeden chór
Rozgłośne echa dalszych gór.

Lecz oto zwrot — i ślak przeryty
Skrzypiącéj arby wielkiém kołem,
Kędy wspaniale skał granity
Wszystkie się w wieniec łączą społem.
Tam jeździec już, jak pod stopami
Spokojny auł dostrzedz mógł
I widzieć pył za tabunami
I myśliwego słyszeć róg,
A gdzie się granit z ziemią splata
Zobaczyć saklę Bej-Bułata.

I orli wzrok rumaką pan
Do białych sakli przybił ścian.

A w cieniu tam, u sakli proga,
Młoda Lezginka zadumana
Z tęsknotą patrzy, gdzie się droga
Ciągnie wśród skały przekopana.

Na kogo czekasz, gwiazdo Wschodu?
Dla czego serce skrycie drży?
Czy wrócić luby ma z pochodu?
Czy też do brata tęsknisz ty?

Znużona główka na ramiona
Schyliła się — i pierś wzburzona,
Zemdlała ręka — i powoli
Chce cudne ramię wyjść z niewoli
I wzrok omdlenia kryje mgła,
A biała twarz spłonęła twa
Płomieniem wrzącéj wschodniéj krwi,
Na ustach pocałunek drzy...
I z dziwną żądzą upojenia
Ramiona kogoś objąć chcą
I piersi twe już ze wzruszenia
Odrzucić pragną szatę swą.

O! przybądź już, oczekiwany!
Lecz... cóż to... jakiś słychać ton?...
To tętent konia... to kochany...
To on! szepnęły usta... on!...

Jak łudzi nas nadzieja chyża!
Jak łatwo oko zwodzi nas...
Już oto jeździec doń się zbliża,
Lecz obca twarz, nieznana postać,
— Ona go widzi pierwszy raz.
Może podróżny, chce tu zostać
Na odpoczynek... koń spocony
Z dalekiéj widać przybył strony...

Zejdź gościu z konia! — cóż to... czemu
Tak dziko patrzy?... cichy jęk
Nieznacznie z ust się wyrwał jemu,
Jakby pękniętéj struny dźwięk...

„Dla czegóż wahasz się u proga?
Odpocznie koń twój, spoczniesz sam.
Gość nieczekany — to dar Boga —
Ja ci kumysu, miodu dam.

Tyś znać ubogi — ja bogata
Zechciej w dom wstąpić Bej-Bułata,
A kiedy w świat pojedziesz znów,
Ty za nas gościu pacierz zmów.“

Chadży-Abrek.

Niech Allach zawsze błogosławi
Tych, co dla gościa tak łaskawi,
Lecz dość już łask, Leilo, dość!
Pokłon ci ojca przywiózł gość.

Leila.

Jakto? mój ojciec ukochany?
Więc o mnie nie zapomniał jeszcze?
Gdzież on?

Chadży-Abrek.

Gdzie wiatry i tumany.
Białą mu głowę myją deszcze,
Jeśli starcowi w ciężkim trudzie
Odmówią dachu swego ludzie.

Leila.

Lecz powiedz, czy spokojny bywa?
Czy nie narzeka?

Chadży-Abrek.
Ha! być może
W niedoli! — no, a tyś szczęśliwa?

Leila.
O! jam szczęśliwa!

Chadży-Abrek (cicho).
Tém ci gorzéj.

Leila.
Co powiedziałeś? —

Chadży-Abrek.
Ja? — nic zgoła!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# O języku i literaturze narodowéj.

(Dokończenie.)

Tak, podać wiedzę ludowi, to nasze zadanie na dzisiaj. Wszyscy to wiemy, poeta z ust nam wyjął cośmy chcieli powiedzieć, ale nie wyrzekł ostatniego słowa, jakiéj to on wiedzy żąda. W téj właśnie kwestji leży cała trudność. Wiemy, że nauka czytania i pisania nie może być kresem mądrości, ale nikt nie wié, co i jak podać ludowi. Od tylu lat pracujemy nad nim, wydajemy czasopisma i broszury, przyczyniamy się ile możności do podniesienia szkół, zakładamy czytelnie, obkarmiamy go etyką w przenajrozmaitszych postaciach, zachęcamy do ulepszenia gospodarstwa, uczymy go nauk społecznych i przyrodniczych; ks. Janota piersi wysuszył zachęcając go do ochraniania kretów, a sejmy krajowe odkładają na stronę politykę dla pouczenia ludu o pożyteczności ptactwa: wszystko to jest grochem o ścianę rzuconym. Chłop zabija kreta jak go jego ojciec zabijał, gospodaruje jak jego dziad i pradziad, stawia strachy na ptaki jak niegdyś, a pod względem moralnym także nie postępuje, bo przynajmniéj w Galicji podpalania, złodziejstwa, procesa i t. d. coraz częstsze. Przy tém wszystkiém ma on zawsze jeszcze swój historyczny rozum, nie jest tak ograniczonym jak francuzki lub austrjacki, ani tak materjalistycznym jak angielski lub niemiecki. Trudno go lada czém zadowolnić i nic nie czyta, nawet tego, co mu się za darmo włoży w rękę. Kto wié czy nie dla tego, że ludzie uczeni nie pracują dla niego, zdają ten trud na niedoświadczoną młodzież i... na tłumaczów? Co się tyczy idei narodowéj pojmuje ją, gdzie nad nim pracowano, czego dowodem Poznańskie. W Galicji, o ile wiemy, jeden tylko przykład rozbudzenia się ducha narodowego u ludu wskazaćby można. Gdy rok 1846 przedzielił straszną otchłanią dwór od gromady, jedni tylko właściciele Haczowa w Sanockiém inaczéj jak wszyscy pojęli swoje zadanie i wyróżnili się od wszystkich. Nie czekali oni aż lud pierwszy zbliży się do nich, lecz sami wyszli naprzeciw niego z odpuszczeniem i zapomnieniem wszystkiego co zaszło. Niebawem powstała tam szkółka, i to nie we wsi, lecz na dworskim dziedzińcu a córka domu była w niéj główną nauczycielką i z prawdziwém poświęceniem pracowała póty, póki nie wychowała całego pokolenia. To téż gdy w roku 1863 we wszystkich wsiach naokoło Haczowa chłopi odbywali po dworach rewizje szukając powstańców i wszędzie ich chwytali, Haczów był oazą wśród puszczy. Młodzież téj wioski brała czynny udział w powstaniu, starzy czém mogli służyli sprawie narodowéj. Niech nam tu wolno będzie wymienić imię panny Lucyny Urbańskiéj, twórczyni téj nadzwyczajnéj zmiany w Haczowie, gdzie w roku 1846 rozbestwiony lud tak okropnie obszedł się z Juljanem Goslanem, wysłannikiem centralizacji paryskiéj.

W zaborze moskiewskim ani mowy być nie może o wywieraniu wpływu na lud nietylko pod względem narodowym, ale nawet pod względem ogólnie moralnym. Tém bardziéj też zadziwia, że lud tamtejszy w niektórych miejscach o wiele lepiéj używa uzyskanéj wolności, niż u nas. Na Podlasiu skutki tego aż nadto widoczne. Jeszcze lat dziesięć nie minęło od zniesienia pańszczyzny, a już gromady włościańskie skupują obszary dworskie, miejsce starych przegniłych chat zastępują porządne dworki a miejsce łyżek drewnianych najzylberowe, które przy pracy i oszczędności w drugim lat dziesiątku pewnie się na srebrne przeistoczą. Jakim sposobem się to dzieje, jest dla nas niepojętą zagadką, jak w ogóle niepojętą zagadką jest cała istota chłopa naszego.

Szlachcic galicyjski nie szczędził mu batoga, mając go za bydlę, to téż zadrżał, gdy wpadł w jego ręce i był pewny, że dlań wybiła ostatnia godzina. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy chłop wczoraj skatowany, zamiast się mścić, pokrzepił go kieliszkiem gorzałki, przeciął postronki i wyprowadził go w miejsce bezpieczne; a gdy go spólnicy łajali, że tym sposobem uronił przyrzeczone za głowę dwa reńskie, nie tłumaczył się, że tak Bóg albo ksiądz każe czynić, lecz to co było dziełem natchnienia, zegnał na poszept ducha i poszedł gdzieindziéj powetować poniesioną stratę. Daj mu pieniędzy na zagospodarowanie, to jeźli go nie dopilnujesz, przepije pieniądze, albo je nawet zakopie a nie zrobi coś mu kazał. Pana zabije, a dziecku pańskiemu, gdy jest zagrożone utratą dziedzictwa przodków, odda wszystko co ma na jego uratowanie. Ktoś twierdził, że mu nie trzeba pisać w powiastkach dla niego przeznaczonych o miłości mężczyzny do kobiéty, bo on tego nie rozumie, bo on się żeni tylko z interesu, bo „Kasiu będziesz mię chciała?“ całą jego miłość stanowi. On to usłyszał, uśmiechnął się gorżko, porwał niewierną kochankę i przebił, poczém bez namysłu oddał się w ręce sprawiedliwości. Czytać nie umie i nie chce, a emisarjuszów, jak Maciéj Szarek, wysyła na wszystkie strony świata, aby mu żebrali książki dla dziecka, bo dziecko jego czytać będzie jak dorośnie.

Jego dziecko... ten malinowy krzaczek nad przepaścią, którego się w ostatecznéj toni czepiamy... W niém wszystkie nasze nadzieje, w niém cała przyszłość nasza.

Tak, dajmy mu książki, to najświętsza nasza powinność; ale jakie? Kto je pisać będzie? Tylu zaczynało je pisać, a wszyscy albo padli nic nie zlepiwszy, albo połamali pióra z rozpaczy, widząc, że nie zajdą daléj jak ich poprzednicy. Co tego przyczyną? powiedzmy otwarcie: nie umiemy pisać dla ludu, nie wiemy co pisać. Oto dla czego konkursa na książki dla ludu przez ks. Bażyńskiego rozpisane nie przychodzą do skutku, oto dla czego warszawski rocznik literacki za rok 1871 wykazuje dwie książki dla ludu, oto dla czego w Galicji wszystkie wydawnictwa tego rzędu ani się wznieść po nad miernotę, ani wstępu pod strzechę wyrobić sobie nie mogą. Może mi kto powié, że przyczyną niepowodzenia naszego na tém polu jest właśnie zbyteczna kuratela nad ludem, może skarg moich użyje kto jako taranu przeciwko twierdzeniu, że się nie godzi otwierać wszystkich śluz, któremi wiedza płynie, aleź... już wszystkiego próbowano... a kiedy mówię wszystkiego, to chcę przez to wyrazić, że nawet i komunizm był już na porządku dziennym. Zresztą nie przeczę, żegdy ks. Bażyński zacznie rozpisywać kon-

kursa na przekłady, pewno nie będzie potrzebował powtarzać dwa razy takiego konkursu, jak to dzisiaj czyni.

Kwestję piśmiennictwa ludowego uważam za najważniejszą dla nas i za pilniejszą od wszystkich innych, chociażby najbardziéj całą ludzkość obchodzących. Kto tę kwestję rozstrzygnie, ten oraz porwie lud za sobą i poprowadzi gdzie zechce, ten stworzy nową epokę w naszéj literaturze, która w historji naszéj cywilizacji takie będzie miała znaczenie, jak w historji politycznéj epoka Bolesława Chrobrego.

Atoli zwyczajem naszym jest wiele mówić, wiele obiecywać, ale mało robić, a gdzie praca koniecznie jest potrzebną, tę wybierać, która najmniéj trudu wymaga. W jednéj z prowincji dawnéj Polski, cieszącéj się większemi jak inne wolnościami i posiadającéj instytucję publiczną do wydawania książek szkolnych, potrzebną była niedawno książka do czytania polskiego dla szkół początkowych. Układ jéj poruczono człowiekowi, który wprawdzie nie odkrył nowego systemu słonecznego, ale rok czy dwa lata z korzyścią dla ludu pracował. Książka wyszła i, jak powiada ten, co ją układał, bardzo jest dobra (w kraju tym autorowie bardzo często sami piszą recenzje dzieł swoich). Istotnie książka ta może się nazwać wzorową w porównaniu z temi, które poprzednio dzieci w szkole czytały, ale dla czegoż to pomiędzy powiastkami w téj książce zawartemi, ledwo kilka jest oryginalnych a wszystkie inne tłumaczone z dzieł księdza kanonika Schmidta? Czy nie mamy tyle oryginalnych powiastek ile ich do jednéj książki potrzeba? Czyż, jeźli ich niema, nie należało napisać nowych? Tak, to prawda; ale cóż, kiedy łatwiéj przetłumaczyć to, co z dzieciństwa ma się w pamięci, aniżeli tworzyć lub szukać. Powiastki księdza kanonika Schmidta nie zawierają nic zdrożnego (chociaż sąd taki jest względny), śmiem atoli twierdzić, że nie nadają się do naszego charakteru narodowego, a są nawet szkodliwe, ponieważ naginają umysły dziatwy naszéj podług téj modły, która ks. Schmidtowi służyła za wzór do ideałów, czyli, ponieważ ją w pewnym względzie niemczą.

Co się dzieje z książkami dla dzieci i szkolnemi, toż samo z małemi zmianami powiedzieć można o całéj naszéj literaturze ostatnich czasów. Dość popatrzeć na Rocznik literacki warszawski, aby się o tém przekonać. Wprawdzie nie przedstawia on dokładnego obrazu literatury w całéj Polsce, bo nie obejmuje książek w Królestwie zakazanych, ale może śmiało posłużyć za podstawę do wydania niebardzo pochlebnego o nas sądu. I dziwić się tu, że nas nazywają żebrakami u bram obcéj kultury!

Jedna medycyna pięknie się rozwija. Wprawdzie i tu same tłumaczenia spotykamy, lecz te przeznaczone są dla ludzi skończonych. To co jest przeznaczone dla szerszéj publiczności, powinno być napisane oryginalnie lub przynajmniéj zastosowane, dla tego też źle, że w Warszawie higienę Dra Bocka tłumaczą tylko, bo chociażby to było najlepsze dzieło, przecież niepodobna, aby klimat naszego kraju, stosunki życia, zatrudnienia i pożywienia jego mieszkańców nie wymagały pewnych zmian; niepodobna, aby higiena przeznaczona dla Niemców, była dla nas zupełnie odpowiednią. Zresztą i na tém polu są już u nas pewne tradycje, z któremi wszelką nowość związać należy, jeżeli chcemy, aby się przyjęła.

Jakkolwiek bądź, cieszyć się nam wypada pomyślnym rozwojem nauk lekarskich, ponieważ naród nasz ma świetną przyszłość na tém polu, okazując szczególniejsze wrodzone talenta do medycyny, czego dowod m, że nigdzie nie ma tyle lekarzy samouków co u nas. (Niech się śmieje, komu się to śmiesznêm wydaje). A są pomiędzy nimi ludzie genjalni, którzy niemal cuda czynią, i byliby wielce poszanowania godni w kraju tak ubogim w lekarzy i apteki jak nasz, gdyby tylko zaniechali odgrywania komedji i otaczania się tajemniczością dla przydania sobie powagi.

O ile higiena dla klimatu, o tyle inne nauki do innych stosunków zastosowane być winny. Na co się przydadzą najlepsze prelekcje zagraniczne o edukacji w kraju, gdzie według wyrażanych tam zasad postępować nie wolno, gdzie elementarze drukują grażdanką, gdzie cały system edukacji jest pod najsroższym uciskiem, gdzie rodziców przymuszają, aby dzieci swoje uczyli pacierza w obcym sobie języku? W takiém wyjątkowém narodu położeniu na nic nie przydadzą się najlepsze przekłady dzieł o edukacji, przeznaczonych pierwotnie dla ludów wolnych. Nam potrzeba zupełnie czego innego: nasza pedagogja powinna być zastosowaną do okoliczności, bo nie to dobre co dobre, lecz to, co do celu prowadzi. Adam Mickiewicz nakreślił zasady takiéj edukacji narodowéj w wierszu „Do matki Polki.“ Ułóżmy nowy system podług tych zasad, a wychowamy Spartanów.

Lecz my powiedzieliśmy sobie, że żadnego systemu zbudować nie potrafimy, i tłumaczymy tylko, przyjmując z góry, co nam obcy narzucą. Jest to smutną cechą charakterystyczną naszego wieku, dziwnie pod tym względem do czasów saskich podobnego, kiedy to powiedziano sobie, że „Polska nierządem stoi“ i wszyscy się na to zgodzili. Atoli my możemy stawiać systemy, bośmy je już stawiali, słońce na niebie jest tego pamiątką — byle tylko nie tłumaczyć żywcem, a więcéj w siebie samych wglądać i z siebie wydobywać. Wynaradawiają nas, a my jeszcze sami do tego przyczyniać się mamy?

Nie powiem, aby to zaniedbanie się z naszéj strony pochodziło jedynie z apatji, z ospałości ducha; lecz sądzę, że ważną tutaj odgrywa rolę trochę za wielka pochopność do przyznawania wyższości obcym, tudzież zbyteczna nieśmiałość i lekceważenie siebie. Nie od dziś datuje się u nas ta choroba, nie od dziś miarą wartości jakiegokolwiek płodu oryginalnego jest dla niektórych jego zbliżanie się do jakiego Francuza lub Niemca! Na Kraszewskiego krzyczymy, że się powtarza; nudzi nas, ponieważ wyrzuca nam zawsze te same wady, i przedstawia zawsze postacie temi samemi wadami grzeszące. Ja inaczéj o nim sądzę. Byłem raz świadkiem, jak izraelita, przyrównywał go do palmy i w zachwyceniu modlił się do Jechowy, aby z każdego liścia téj palmy nowa podobna wyrosła palma. Mnie, z powodu zarzucanego mu powtarzania się, przypomina Kraszewski Jana apostoła, który, ile razy go przyniesiono, bo dla starości chodzić nie mógł, na zgromadzenie wiernych, powtarzał za każdym razem jedno i to samo: „Dziateczki, miłujcie się wzajemnie.“ Oburzano się, że ciągle jedno prawi, jakby nic innego już nie wiedział. Nie czyńmy i my tego, lecz prośmy Kraszewskiego, aby nam ciągle i ciągle to samo powtarzał: Dziateczki, miłujcie swoją ojczyznę, czyńcie to, co ją zbawi, a nie to, co was uczyni podobnymi do tych, którzy „na spadzistościach — w purpurze potęgi schodzą do trumny, bo matka po sześćkroć zabita, kiedy wstanie ze snu, kiedy znów zasiędzie nad łanami zbóż śród zielonych borów od morza do morza, zapłacze nad wami bardziéj, jak nad tymi, którzy polegli w jéj imieniu na rodzinnych lub zamorskich niwach.“

„Skarb i wojsko“ — przestrzegał niegdyś Kato litewski na każdéj sesji sejmowéj. Dzisiaj język jest dla nas tém, czém za czasów Korsaka był skarb Rzeczypospolitéj, a literatura tém, czém wtedy było wojsko. Wiedzieli o tém przodownicy nasi, którzy przeżyli okropną katastrofę; pojęli, że w języku i literaturze skoncentrować nam potrzeba cały żywot i dla tego wszystkie

swoje usiłowania zwrócili do kształcenia języka i rozwoju literatury.

Język i literatura — oto wszystko, co nam zostało po przodkach. Język i literatura — to krzyżyk, który umierająca matka dała sierocie idącéj na służbę do obcego pana. Język i literatura — to ostatni wykrzyk owych proroków naszych, których struna życia, pękła gdy nadszedł ów dzień straszny; to ich testament a dla nas jedyna pochodnia, za którą suniemy się po ciemnych manowcach niewoli. Jeżeli tak co do środków zachowania czystosci języka, jak i co do obowiązków literatury względem narodu nie podzielacie mojego zdania, wybaczcie, że was znudziłem; spierać się już z wami nie będę, chociaż zostanę przy swojém.

Stanisław Nowiński.

# OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

**Józefa Narzymskiego.**

(Ciąg dalszy.)

Zbyt dawno jednak opuściliśmy naszą biedną bohaterkę i czas powrócić do niéj.

Przypadek, czy magnetyczne działanie sprawiły, że od chwili bytności Artura choroba słabieć zaczęła, i już na trzeci dzień doktor ręczył, że niebezpieczeństwo minęło. Siły jednak wracały bardzo powoli, recydywa mogła łatwo nastąpić i dla tego unikano wszelkich wzruszeń, draźnień i irrytacji.

Rekonwalescencja była tém trudniejsza i powolniejsza, że w miarę wracającego porządku w mózgu, wracała i pamięć przeszłości i smutek.

Na szczęście po chorobach mózgowych ubiegłe wrażenia wracają urywkowo, poplątane, rozbite. Potrzeba pewnego czasu, żeby je uporządkować i powiązać. Polcia z początku widziała tylko oderwanie, to Artura, to Felixa, to ślub... Najczęściéj zaś samego Artura, tak jak stał we drzwiach, za ostatniéj bytności...

Z całéj choroby tę tylko pamiętała chwilę, ale sądziła że to sen był, widzenie wyobraźni tylko, i milczała. Zresztą Polcia i późniéj, gdy już dokładnie przypomniała sobie przeszłość, a teraźniejszość pojęła jasno, i wtedy nawet milczała. Była to teraz zupełnie inna kobiéta, jak ta, którą Artur na owém zebraniu widział. Fizycznie wypiękniała a przynajmniéj wyidealizowała się. Rysy wychudłe stały się delikatniejszemi, usta zbladły trochę, pełna krwi i ognia płeć dziewczęcia stała się matowa, biaława, z pewnym tonem śniadości kobiét południowych. — Oczy jéj, te prześliczne czarne oczy, straciły nieco z blasku i ognia, zdawały się częściéj patrzeć wewnątrz jak zewnątrz, ale za to miały w sobie ten czar smutku i tęsknoty, tę dziwną i pociągającą ku sobie głębokość spojrzenia, która się okupuje i zdobywa tylko wielkiemi cierpieniami.

Moralnie, zmiana była większa jeszcze. Przed kilku miesiącami był to pączek zaledwie przeczuwający życie, teraz, lilja, zmrożona nocném zimnem. Pola była w téj chwili starsza od matki, od babki nawet... Była to starość, naturalnie względna, bo jeden promień szczęścia, bo może czas nawet, mógł wrócić młodość, ale obecnie istniała ona. Polcia w długich godzinach rekonwalescencji wyrobiła sobie pewien plan poetyczny postępowania swego nadal.

Kochała jednego, a była żoną drugiego. Jakiś czas marzyła o rozwodzie, ale wiedziała z góry, że miałaby przeciw sobie wszystkich, że unieszczęśliwiłaby matkę... Przysięga przed ołtarzem była dla niéj świętością... Zresztą była przekonana, że Artur jéj nienawidzi, że nią pogardza pewno... Jak nie zdradzać męża, a wierną pozostać miłości dla innego?... Oto pytanie, które sobie to biedactwo stawiało, nie przypuszczając może, że się sili nad rozwiązaniem zagadki nierozwiązalnéj, nad pogodzeniem poezji z prozą, ideału z rzeczywistością, namiętności z obowiązkiem.

I zdawało się téj bladéj i smętnéj dzieweczce, że rozwiązanie znalazła.

— Będę dla męża — mówiła w duchu — tém, czém mu być przyrzekłam. Dobrą, wierną, serdeczną przyjaciółką, a tamtego będę kochać i wielbić w głębi mego serca...

Nie była ona tak naiwną, żeby nie przeczuwać przynajmniéj, że mąż ma prawo do innych trochę uczuć; czuła także, że zamiast serca i miłości, dać komuś przyjaźń, to trochę za mało, ale cóż, kiedy inaczéj robić nie mogła, nie chciała?... A wszak to najwyższy dla kobiéty argument.

Dziewicza jéj duma i godność niewieścia drżały oburzeniem na samą myśl zdradzenia męża dla kochanka, lub oddania się mężowi, dopóki w sercu panował inny.

Nie łudziła się zresztą bardzo. Przeczuwała, że takie życie, gdyby mogło trwać długo, będzie dla niéj smutniejsze jak klasztor nawet, będzie pełne walki, przymusu, tęsknoty, może upokorzeń. Ale cóż robić?... Zdawało jéj się zresztą, że ona niczego nie potrzebuje. Byle szanowano uczucie jéj serca, była gotowa zrzec się wszystkiego, być sługą męża, córką jego rodzicom, pociechą własnéj matki.. Wierząc gorąco, że jéj szczęście stracone na zawsze, że przyszłość jéj szara, pusta, bezbarwna, postanowiła całą siłę i ogień młodzieńczy zużytkować na uszczęśliwianie osób w około niéj żyjących.

Dodajmy do tego zapał, zajęcie, współczucie, gorączkę, jakie w niéj wzbudzało powstanie, marzenia jakie ją przejmowały na samą myśl wolnéj Polski, cześć dla tych którzy za nią walczyli i ginęli, a zrozumiemy, że przy téj dywersji zewnętrznéj Pola mogła znosić ból serca, mogła go znosić spokojnie. Jak praca dla tych co pracować muszą lub umieją, jest najlepszém na boleść moralną lekarstwem, tak również ogólne uczucie, wyższa jakaś idea, wielka dziejowa katastrofa, głuszą pojedyncze jęki. Człowiek się wstydzi płakać nad własnemi ranami, gdy wszystko się wali w okół niego.

Powstanie uratowało Artura od samobójstwa, toż samo powstanie pomogło Polci cierpieć ze spokojną twarzą. Wyjąwszy więc chwil gdy przyszła wieść o szczęśliwém starciu, i tych dni, w których jaki warszawski wyrób prasy tajemniczéj wpadł jéj w ręce, była milcząca, smutna, ale zarazem spokojna i łagodna jak anioł. Z mężem nie widziała się jeszcze i trudno jéj było zdecydować się na krok ten. Przemogła się jednak i sama kazała go prosić do swego pokoju.

Było to może w trzy tygodnie po bytności Artura, a, Polcia już rekonwalescentka, wydawała się jeszcze bardzo osłabioną i bladą. Ubrana była w biały muślinowy negliż i otulona w wełniany szal ponsowy. Z pod białego czepeczka wysuwały się króciutkie włosy, odrastające ledwie po obcięciu. Siedziała na wielkim fotelu.

Widok ten wziął za serce Felutka. Ta biała twarz przezroczysta, to delikatne i wychudłe dziewczę, otulone w bieli, patrzące na niego łagodnie, wielkiemi czarnemi oczyma, w których jakiś strach się malował, wpłynęły na młodego tak, jakby nań wpłynęła obecność jakiéjś istoty wyższéj. Zarumienił się, zatrzymał i ukłonił niezgrabnie.

Polcia zarumieniła się także leciutko. Drżała ona na samą myśl rozmowy, jaka nastąpić musiała w téj chwili, a obok tego instynkt kobiécy szeptał jéj do ucha:

— To mąż mój?!...

— I szlachetna postać Artura przesunęła się przed nią jak cudne widziadło... Otrząsnęła się przecież natychmiast.

Sam na sam młodéj pary trwało przeszło godzinę. Co w ciągu téj godziny młode małżeństwo mówiło ze sobą, nikt ani teraz, ani późniéj nie wiedział. Feliks wyszedł z pokoju żony trochę smutny, jakby niekontent i zaraz odjechał. Jadąc szeptał od czasu do czasu sam do siebie:

— Śliczne położenie!... jak mamę kocham!... mąż i nie mąż... ale co robić?... Stara wieś... a skandal... rozwód... a potém, taka śliczna!... oh! jaka śliczna... głupie położenie!... Nie, nie można w... Zresztą to tak się gada... romanse romansami... a młodość młodością... Trzeba wziąść na cierpliwość... to samo z siebie przyjdzie... Byle się tylko kto nie domyślił. I młody chłopiec, który zresztą miał już nieco wprawy w udawaniu przed rodzicami, wyjął z kieszeni szczoteczkę, przejrzał się, ułożył minę uśmiechniętą i zadowoloną i z nią stanął przed obliczem życiodawców swoich.

— No i jakże?... jakże? — zawołała matka — przyjęła cię?

— Ale naturalnie! z uśmiechem, dumę oznaczać mającym, syn odpowiedział.

— A co duszko? nie mówiłem? — wtrącił ojciec.

— No i jakże?... co z tobą mówiła, jak się tłumaczyła?...

— Mówiliśmy ze sobą z godzinę sam na sam...

— Widzisz... widzisz... duszko... — wołał pan Wojciech — a czy to nie zawcześnie było to sam na sam?...

— Berciu!! proszę cię — strofowała żona. — No więc cóż? kochacie się?... No, dzięki Bogu moje dziecię... A kiedyż nas wnuczkiem obdarzysz? — dodała ciszéj...

Feliks schylił się do ręki matki, bo mu to pytanie przykrość zrobiło.

— Niewinny jak dziecko!... — szepnęła matka.

— Jutro przeprowadzam się do Staréj wsi — dodał.

— No, a starzy? kiedyż się wynoszą?... czasby już był wielki.

— Nie wiem mateczko jak żona moja będzie zupełnie dobrze... ona jeszcze bardzo słaba...

— Piękne masz miodowe miesiące! — zawołała znów matka, zawsze niechętna dla synowéj.

— At! — wtrącił znów ojciec — co się odwlecze to nie uciecze... za czém się trochę poczeka, to potém smakuje lepiéj!... hi! hi! hi!...

Felusia drażniły te żarty, bo choć się spodziewał, że prędzéj lub późniéj nadejdzie i dla niego miesiąc miodowy, wiedział przecież, że długo za nim czekać będzie musiał.

Na drugi dzień Feliks rozkwaterował się w Staréj wsi i objął zarząd gospodarstwa. Piotrowicz był dla niego bardzo serdeczny, choć nieco protekcjonalny, pani Zofja starała się wszelkiemi sposobami wziąść go za serce, i niejako ułagodzić go naprzód na pożycie, które, przeczuwała, że bardzo szczęśliwe nie będzie, — nawet babcia, zwykle tak otwarta, ukrywała swój wstręt i niechęć ku niemu. Ale najuprzejmiejszą, najserdeczniejszą dłoń była jego młoda małżonka...

Choć smutna i zadumana, skoro tylko Feliks wszedł do jéj pokoju, przywoływała ona uśmiech na usta, stawała się rozmowną, prawie wesołą. Mówiła z nim długo i chętnie, pamiętała o jego gustach, brała zawsze jego stronę, odwoływała się zawsze do jego rady. Postępowanie to mogło zwieść nawet najbliższych. Pani Zofja sama zaczęła podejrzewać, że obraz Artura zatarł się w pamięci Polci, a przynajmniéj, że rozsądek skłonił ją do pogodzenia się z losem. Zwierzyła się z tém przed mężem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Z PRZYRODY.

### Artykuł czwarty.

## Wybuchy Wezuwiusza.

(Dokończenie.)

W następnym 1869 roku, w pierwszych dniach grudnia zwiedził Wezuwjusz sławny naturalista profesor Suess. Wonczas góra była spokojną i zdawała się spoczywać po tylu wysileniach, jakie przebywała w ostatnich latach. Główny stożek wznosił się z otaczającego go wału rumowisk wulkanicznych czarny, ponury, niejednostajny. W dolinie stanowiącéj przedział między wzniesieniem kraterowém a wałem rumowisk, utworzyła zastygła lawa z r. 1868 szklistą chropawą polanę. W około głucha panowała cisza.

Drugi raz był profesor Suess na Wezuwjuszu w kwietniu r. 1871. W formacji wulkanu ta zaszła zmiana, że obok dawnego stożka kraterowego wzniósł się tymczasem nowy stożek, z którego buchały płomienie podziemne. Płomienie te nocną porą rzucały do koła jaskrawą łunę. Profesor Suess opisuje nowy ten krater w następujący sposób:

„Stożek był może 100 stóp wysokim. Ściany jego utworzyły się z czterech potężnych bloków zastygłéj lawy pionowo wzniesionych skutkiem parcia wewnętrznéj siły wulkanicznéj. Brzegi krateru zwisły w dzikich fantastycznych kształtach. W głębi utworzyło się małe jezioro żarzącéj lawy. Z pośrodka téj ognistéj sadzawki wznosił się mały, okrągły, zaledwie kilka stóp wysokości mający pagórek, z którego od chwili do chwili wybuchał promień pary, a w ślad za nią wzbijały się po nad nasze głowy masy płynnéj, całą falą spadającéj lawy. Spadając z wysokości zwieszała się zazwyczaj ta lawa na sterczących u wybrzeża krateru skałach, tak że wyglądały one jakby w peruki poprzystrajane, z początku czerwone, a tam gdzie lawa już zastygła peruki te były czarne, szkliste. Zresztą otwór kraterowy okryła różnobarwna powłoka chlorydu żelazistego.

Główny krater zachował się zupełnie odmiennie. Ściany jego okryte były jednostajnie białą warstwą soli kuchennéj. Huk podziemny powtarzał się w jego głębiach wprawdzie nie tak często, jak w nowym kraterze, ale za to był bez porównania potężniejszym, a po każdym uderzeniu wytaczała się z wnętrza krateru większa lub mniejsza masa kamieni, które spadały na wszystkie strony po bokach stożka kraterowego. Kamienie te były tak gorące, iż położony na nich papier zapalał

się; pomimo to już podczas spadania okrywały się te rumowiska cienką powłoką soli. Nic nam nie pomogło, że zdołaliśmy się wydostać na sam brzeg głównego krateru, a to dla tego, że cały otwór okrywały chmury buchającéj z wnętrza ziemi pary.

Po raz ostatni był prof. Seuss u wierzchołka Wezuwiuszu w liczném towarzystwie geologów dnia 5 kwietnia b. r. Nowy stożek kraterowy urósł od r. 1811 więcéj jak o 10 sążni skutkiem stopniowego zastygania wyrzucanéj z jego wnętrza lawy. Teraz tylko dość rzadko wzbijały się promienie lawy, lecz za to ze środka krateru buhała masa ognia jasnym, czystym, czerwonym promieniem. Do głównego krateru można się było zbliżać li z wielką trudnością; huk podziemny był ogromnie silny, ziemia drżała, a co chwila tworzyły się pod nogami szerokie rozpadliny w zastygłéj lawie. Para chlorowa wydobywająca się z tych otworów utrudniała wielce oddychanie w pobliżu krateru. Soli już nigdzie dostrzedz nie było można.

Kilkanaście dni późniéj Wezuwiusz stał już w ogniu. Ryk podziemny, jaki towarzyszył wyrzucanéj lawie, przypominał bitwę, w któréj grzmiało kilkaset dział. Ryk ten musiał niezawodnie natchnąć Grekom ów myt o trzodach wołów porywanych przez cyklopów i zapędzanych w jaskinię Etny. Był to niby ryk wszystkich lwów afrykańskich pustyń, więzionych w wiwarium rzymskiego cyrku i wściekle wyłamujących żelazne kraty. Ludzie truchleli, a kto żył tylko, wynosił się z sąsiedztwa tak strasznéj góry. Wielu słysząc ten huk, dostawało pomieszania zmysłów. Na tém miejscu nie zawadzi powiedzieć, że podnóże Wezuwiusza zamieszkuje blisko 100,000 ludzi. Miasteczko Torre del Greco liczy 20,000 mieszkańców. Resina i Portici mają blisko po 13,000 mieszkańców, a wsie San Sebastiano i Massa miały jedna 2,000, druga 3,000, Ponticelli zaś 5,000 ludności i t. d.

Ale pozwólmy za nas opowiadać Dr. Branansowi, naocznemu i jednemu z najbliższych świadków tego strasznego dramatu. „Wieczorem d. 24 kwietnia — są jego słowa — zaczął się burzyć wielki krater i w nocy na 25 wybuchła z jego wnętrza olbrzymią masa lawy, która spływać poczęła ku stronie dawnéj Pompeji. Zwabieni tym niezwyczajnym widokiem wybrali się z Neapolu w nocy 26 obcy turyści a z nimi wielu tamtejszych mieszkańców, razem około kilkaset osób na górę. Zaledwie doszli do stożka kraterowego, gdy wtém buchnął na nich raptownie strumień lawy rozpalonéj, a to z wnętrza krateru, który nagle w ich oczach się otworzył. Pióro na darmo się sili opisać okropność téj katastrofy. Rano d. 26 rozeszła się po Neapolu straszna wieść o tym wypadku. Mówiono, że zginęło lub jest rannych 200 ludzi, między tymi 40 obcych. Cyfry te okazują się niestety prawdziwemi. Wkrótce do szpitali neapolitańskich przywieziono 24 osób ciężko rannych, a w kilka godzin nadszedł z obserwatorjum profesora Palmieri telegram, żądający pomocy dla 60 rannych, poznoszonych tam z miejsca wczorajszéj katastrofy. Na tę wiadomość zapanowało w mieście przerażenie, a wzmogło się ono tém bardziéj, gdy nagle z wielkiego krateru wśród straszliwego huku i grzmotu wytrysnął z wnętrza góry słup dymu niezmierzonéj wysokości. Od czasu do czasu dawało się uczuć furywane trzęsienie ziemi, a wkrótce potém rozlała się w pięciu kierunkach gorąca lawa sycząc i paląc z niesłychaną szybkością. Jeden strumień toczył się w kierunku wsi Bosco Reale (Pompei), drugi otaczać zaczął pagórek, na którym stoi obserwatorjum prof. Palmieriego, trzeci z gwałtowną szybkością spłynął na San Sebastiano i Massa, a rozdzieliwszy się, zagroził ten strumień jedném ramieniem miastu Resina i miasteczku San Giorgio, a drugiém sięgać począł ku Torre del Greco, paląc i zalewając wszystko. Podczas tego w Neapolu szyby drżały, domy się trzęsły, a ludzie bali się trzęsienia ziemi.

Wiatr lekki unosił chmury dymu i popiołu w stronę Kalabrji. Około godziny pierwszéj wybrałem się do Torre del Greco drogą na Portici. Po drodze spotykaliśmy tysiące uciekających, którzy ratować pragnęli co posiadali najdroższego. Żałosne kobiéty z rozpuszczonemi włosami, z dziećmi na plecach, na pół nagie, a za niemi gromada psów wyjących, popłoch, wrzawa, płacz; a po nad tém wszystkiém ścigający płomień i straszliwy łoskot spływającéj w koryto lawy — był to istny obraz piekła. — Zdawało nam się, że po nad Torre del Greco wstrzymał się strumień lawy w swym biegu. Tém gwałtowniéj pędziły na dół inne strumienie.

Nieco daléj po za Torre del Greco niepodobna było iść naprzód, bo kurz i popiół gorący, unoszące się w powietrzu, tamowały oddech. Wróciłem przeto do Resiny w nadziei, że ztąd uda mi się dostać o ile możności jak najwyżéj na górę. Nie powiodło mi się tu jednak, a to z powodu, iż wojsko zaciągnęło aż do San Sebastiano kordon, nie puszczając nikogo na niebezpieczną górę. Po mieście snuły się długie procesje dzieci i kobiét z porozpuszczanemi włosami, z krzyżami i obrazami świętych wśród śpiewu pieśni nabożnych, błagających Boga o zlitowanie i ratunek. Wszystkie figury świętych uwieńczono kwiatami; przed obrazami paliły się świece, a u podnóża tych obrazów tłumy ludu z odkrytemi głowami klęczą, śpiewając litanje. Wszystko przypruszone szarym popiołem. Wrzawa uciekających, jęki kobiét, krzyk dzieci, łączyły się z odgłosem tych śpiewów w żałobny chór!..

Zwróciłem się ku San Sebastiano. Zaledwie tam dojechałem, gdy lawa dosięgła już pierwszych domów skazanéj na zagładę miejscowości. Główne masy lawy płynące na San Sebastiano wyrzucał krater, który rozwarł ognistą swą paszczę poniżéj obserwatorjum. Grubość warstwy lawy toczącéj się u góry wynosiła około 40—50 stóp. Unosiła ona ze sobą olbrzymie skaliste bloki dawniejszéj, zastygłéj już lawy. Niedługo cała dolina, śliczna, umajona zielonością, zamienioną została w jedno ogniste jezioro. Jedna winnica po drugiéj znikała wśród dymu i płomieni. Zniszczenie niosący całun pokrył w chwil kilka najpiękniejsze ogrody i tak cudną niedawno okolicę zamienił w jedno wielkie cmentarzysko, nad którém zawisło przekleństwo losu. Przerażającém było pękanie drzew i domów, które dotknięte ramieniem ognistéj lawy, wylatywały jakby minami wysadzane w powietrze i znikały w mgnieniu oka na zawsze.

Wróciłem do Neapolu odurzony widokiem tego straszliwego zjawiska przyrody. Słowa wyżéj przytoczone nakreślone zostały pod wrażeniem przebytych okropności. Z okien moich przy ulicy św. Łucji patrzę na ziejącą ogniem górę. Powietrze drży od huku podziemnego. Zdaje mi się, że trudno na świecie o widok wspanialszy, lecz zarazem i groźniejszy.“

Kończąc opowiadanie naocznego świadka, a wraz z niém i niniejszą rozprawkę dodać nam należy, że San Sebastian i Massa di Somma zostały całkiem zalane powodzią ognistéj lawy. Ponticelli, Portici i Torre del Greco uległy zniszczeniu, z którego podnieść się nie będzie im tak łatwo. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi zostało bez chleba i dachu, a cała okolica Wezuwiusza na kilka mil w około okryta przed chwilą najpiękniejszemi ogrodami, zamieniona teraz w czarną pustynię zastygłéj lawy, albo zasypana szarą powłoką popiołu.

Wybuch ostatni, zdaniem wielu, był silniejszy i gwałtowniejszy niż ten, co zniszczył Herkulanum i Pompeję. W pierwszych dniach maja uspokoił się Wezuwiusz o tyle, że znikło wszelkie większe niebezpieczeństwo.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

o

# RZECZACH POLSKICH.

†

## Józef Narzymski,

nasz stały współpracownik, dnia 5 lipca r. b.

**Cześć jego pamięci!**

* * *

— **Sprostowanie:**

Odczytawszy z zajęciem **Redutę Ordona Dra A. Wołyńskiego** w Tygodniku Wielkopolskim — nie mogę się wstrzymać od wskazania Szanownemu Autorowi cennego życiorysu, — usterek w imionach własnych, jakie się tam — pewnie mimowolnie — wkradły.

Na str. 175. Wojsko polskie 1831 r. nie znało jenerała Michałowskiego. — Mowa tu oczywiście o czcigodnym jenerale Małachowskim — późniéj krótką chwilę wodzu wojska polskiego.

Na str. 189. Nie u hr. Krasińskiego, lecz u hrabiego Ksawerego Krasickiego (bratanka ks. biskupa warmińskiego, a ojca Krasickiego Edmunda, w jednéj baterji z Ordonem służącego) — w Lisku (Galicji) przebywał po upadku sprawy z 1831 r. Ordon z towarzyszami broni.

Przy téj sposobności nie byłaby bez zajęcia dla polskich czytelników wzmianka, że (zm. 1844 r.) Ksawery Krasicki, 1794 r. dowódzca pułku huzarów i towarzysz broni pana Naczelnika (Kościuszki) jest owym „Panem Ksawerym“ w Mohorcie Wincentego Pola, z takim wdziękiem o kresach i Ukrainie opowiadającym! Albowiem poeta w żywych opowiadaniach p. Ksawerego Krasickiego znalazł wątek do swojego pięknego utworu — a natchnienie przybywało łatwo w cieniach tych drzew odwiecznych, gdzie koło żyjących resztek dawnéj Polski zbierały się świeższe jéj rozbitki, nie dopuszczające wygaśnięcia miłości ojczyzny, z wiarą i nadzieją lepszéj dlań przyszłości!

Pisano na Czerwonéj Rusi w czerwcu 1872 r.
Leszczowate — o. p. Ustrzyki (w Galicji).

**Edmund Kraiński,**
ofic. inż. b. w. p.

* * *

### Sztuki piękne:

— Prof. **Marjan Jaroczyński**, artysta malarz w Poznaniu przysposabia na powszechną wystawę do Wiednia ogromny obraz historyczny, przedstawiający W. mistrza krzyżackiego Ludwika ab Ehrlichshausen, podpisującego traktat toruński 1466 r. u stóp króla Kazimierza Jagielończyka. Płótno ma 20 stóp długości a 14 wysokości i mieści się na niém przeszło 100 osób wielkości naturalnéj. Pod względem kompozycji obraz nic nie pozostawia do życzenia; pewni też jesteśmy jego powodzenia na przyszłéj wystawie świata; obszerniejsza o téj pracy wiadomość przysposabia się do druku.

* * *

— Pan **Tytus Maleszewski** wykończył pastelowy obraz „Śpiące bliźnięta.“ Śliczna kompozycja a kolorytowi możnaby zarzucić tylko, że piękniejszy od natury. Wywołano tu efekt pastelami, jakiego świetności olejne farby doścignąć chyba mogą. Obraz ten wisi na sali bazarowéj.

### Rozmaitości:

— Dnia 3go lipca odczytał **Dr. Karol Libelt** w sali poznańskiego Bazaru rozprawę „O stosunku oświaty do narodowości.“

* * *

— Przed kilku dniami umarł w Kargopolu **Aleksander Hilferding**, prezes petersburskiego dobroczynnego sławiańskiego komitetu, znany z wielu prac swych naukowych na polu sławiańszczyzny. Zmarły urodził się w Warszawie, gdzie ojciec jego był naczelnikiem kancelarji dyplomatycznéj przy ks. Paszkiewiczu i tamże ukończył szkoły, a następnie udał się do Petersburga, gdzie ukończył uniwersytet. Z pochodzenia i rodu Niemiec, wychowany w Polsce, służył następnie całe swe życie Moskwie, którą za ojczyznę swą przybrał, szerząc ideę panslawistyczną i sławiąc wielkość i potęgę rosyjskiego państwa.

* * *

— O królu pruskim, **Fryderyku tak zwanym Wielkim**, którego imię głęboko się wryło w dzieje Polski, pisze Karol Ludwik von Knebel, współczesny mu poeta niemiecki, pomiędzy innemi co następuje: „Króla właściwie nikt nie kochał, wyjąwszy tych z poddanych jego, którzy łask królewskich doznawali, i tych, którzy go nie znali. Inni bali go się tylko po największéj części, — bojaźń zaś rzadko chodzi w parze z miłością. — Duch miłości króla spadał natomiast zwykle na królewskie mopsy. (K. L. von Knebel's liter. Nachlass und Briefwechsel, III, 477 sq.)

Charakterystycznym objawem jest także następująca okoliczność, którą wypisujemy z pamiętników Helminy de Chézy, wnuczki Anny Ludwiki Karsch:

Żyjąca w nędzy wierszopisarka niemiecka, wspomniona powyżéj Karsch, która pieśniami swemi znacznie się przyczyniła do spopularyzowania imienia Fryderyka, gdy królowi kilkakrotnie już była przypomniała dane sobie przyrzeczenie co do zapewnienia jéj losu, odebrała pewnego dnia pocztą dwa talary od Fryderyka II. Zawiedziona w swoich nadziejach poetka odesłała królewski podarek z następującym czterowierszem, który w krótkim czasie obiegł całą Europę:

Zwei Thaler gibt kein grosser König,
Denn sie erhöhen nicht mein Glück.
Nein, sie erniedern mich ein wenig,
Drum send' ich sie zurück.

Roku 1783 w miesiącu styczniu powtórzyła pani Karsch swoją prośbę i otrzymała tym razem trzy pruskie talary od Wielkiego króla. (H. v. Chézy, Unvergessenes, I. 73).

* * *

— † **Henryk Suchecki**, lingwista polski i sławiański, zmarł w sześćdziesiątym pierwszym roku życia, w Krakowie dnia 3go lipca.

### Skrzynka do listów.

— P. Tomaszewiczowi w Krakowie: Zgoda; oczekujemy przesyłki.

— X. H... w L...: Przedpłaciciele na dzieła Kraszewskiego nie są zobowiązani prenumerować aż do końca; — Encyklopedja Edmunda Calliera daléj wychodzić nie będzie dla braku subskrybentów.

— P. Fr... Ha... w Zemlinie: Wysełamy do Nowego Sączu.

— P. G... w Kołomyi: Rachunek wyrównany.

— P. Bolesławowi G... z pod Sądowéj Wiszni: Zechciéj Pan sam wyznaczyć wysokość zaliczki za **Jutrzenkę** i takową nam nadesłać. — Przy téj sposobności załączamy serdeczne pozdrowienie bratu Sokołowi!

— Kochany Diable! List Twój piekielnie niezrozumiały — może go pojmie nasz redaktor, który wkrótce powróci ze swéj wycieczki.

# OGŁOSZENIA.



---

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.